

Józef Baran

Spadając, patrzeć w gwiazdy (26)

(fragmenty)



Nim pozakładali pierwsze kolonie, fazy, obsiali pola soją, zbożem, kukurydzą, trzciną cukrową, zanurzyli się korzeniami, pokoleniami w tej ziemi, nauczyli mówić po portugalsku i to tak, aż stał się w końcu ich pierwszym językiem...

W Guarani das Missões przebywam na plebanii, zaprzyjaźniając się z ojcem Mario, urodzonym w Paranie. Chętnie opowiada o specyfice katolickiego Kościoła brazylijskiego, tak niekiedy innego od polskiego. Na przykład, tu w Guarani istnieje jeszcze w szczątkowej formie indywidualna spowiedź (na Boże Narodzenie i Wielkanoc), ale gdzie indziej w Brazylii zrezygnowano z niej całkowicie, bo teren rozległy, a księży za mało. W kościele wszyscy, ławka po ławce, przystępują więc w czasie mszy do komunii. Raz w miesiącu msze odprawiane są po polsku. Problem teologii wyzwolenia jest tu nadal żywy, księża w większości opowiadają się przeciw celibatowi...

IV Jose i Leokadia

Huk, szum, jaki wydobywają z siebie o wieczornej porze młyny oceanu – zdają się tu działać kojąco... Przemieściłem się już do stanu Parana, do nadoceanicznej miejscowości Balneario Atami. Goszczą nas Leokadia i Jose, oboje niewielcy „ludzińkowie” za to o wielkim sercu, niezwyklej skromności i uprzejmości. Są nalewki z cachacy, jest barreadu: wołowina gotowana w kamieniaku; gospodarze dogadają nam jak umieją; brakuje tylko ptasiego mleczka. Wędrujemy z nimi po plaży. Wsłuchujemy się w ocean i w siebie. Woda ciepła, choć koniec zimy, można zzuć buty i wałęsać się całymi kilometrami... aż do Wypsy Miodu, której nazwa brzmi tak zachęcająco, że przeprawiamy się na nią stateczkiem, by odbyć całodzienną wyprawę – z Agatą, moją tłumaczką, która dzielnie towarzyszyła mi w spotkaniach autorskich

na uniwersytecie i przetłumaczyła esej o poezji i empatii.

Młyny Boże Atlantyku pracują nieprzerwanie. Zbieram na plaży „nadmorskie gwiazdy”, muszelki, przewracam na grzbiet martwe żółwie wyrzucone na piasek, które na drugi dzień staną się łupem sępów, czarnych ptaszysk z białymi kołnierzykami.

Kresowy zaśpiew polszczyzny Leokadii wywodzi się stąd, że jej polscy rodzice gospodarzyli na Wołyniu i udało im się zbiec pewnej nocy na 5 minut przed tym, jak ich wieś została puszczona z dymem przez nacjonalistów ukraińskich. Jakiś czas się tułali, zanim wraz z małą łodzią wpadli w ręce Niemców. Zostali wywiezieni na roboty do Niemiec, a po wojnie wybrali właśnie Brazylię jako kraj przyszłości. Leokadia niewiele pamięta z wczesnego dzieciństwa. W szkole zaczęła mówić po portugalsku. Stawał się on jej pierwszym językiem, język dzieciństwa zaś przesunął się na daleki plan. Ukończyła anglistykę na uniwersytecie, została lektorką, powoli zapominała polskich słów. Renesans jej polszczyzny nastąpił już na emeryturze (tu odchodzi się na nią wcześniej). Zaczęła się go znów uczyć na kursach, wkuwać gramatykę i dziś sama prowadzi kurs języka polskiego w Kurytybie.

Jose, też polskiego pochodzenia, trochę podobny do Luisa de Funesa, ale w istocie bardzo poważny agent ubezpieczeniowy i człowieczek o wielkiej ciekawości i wiedzy. Przy tym obdarzony specyficznym, ciepłym z cicha pęk humorem. Zwraca się do swojej Leosi zawsze: „Mamusiu”.

Gdy wsiada do auta, macha jej ręką na do widzenia, a dopiero po chwili, po zapuszczeniu silnika, udaje, że ją właśnie rozpoznaje („Aaaa... to ty!”), i wpuszcza do samochodu. Lubi powtarzać: „Szczęście wrony – że nie ma żony”. Albo „Z taką doradą do dupy jada”. Albo: „Lepiej odpukać w drewno niż w czoło”. Gdy stoimy w korku, pociesza nas: „W taki sposób nie zapłacimy mandatu”. W trakcie jazdy puszcza płytę z tangami argentyńskimi, lecz okazuje się, że płyta wypaczyła się w słońcu. Gdy Leokadia zwraca mu uwagę, że nie powinien jej trzymać na wierzchu, ripostuje: „Płyta jest dobra, tylko śpiewak zachrypl”. Po chwili dodaje: „Mamusiu, musimy ponownie pojechać do Buenos Aires, żeby kupić płytę z innym, lepszym śpiewakiem”. A kiedy Leosia mówi, że czuje się już zmęczona tą jazdą w weekendowym korku, pociesza ją zabawną polszczyzną: „Wolę być zmęczony, niż umrzeć, by spoczywać”. Gdy jesteśmy na miejscu, wieszają uprane koszule w ogrodzie – i „mamusia” martwi się, że w nocy, podczas burzy, koszule mogą spaść, Jose zaś na to: „Ależ nie martw się, ta koszula nie spadnie dalej niż na ziemię”.

Nadmorski domek letniskowy Jose i Leokadii jest parterowy, ale na tyle pojemny, że mieścimy się w nim nie tylko my, lecz również synowa i córka z dziećmi, którzy przyjechali też na cztery weekendowe dni nad ocean. Ani córka, ani wnuczki nie mówią po polsku.

W sobotę Jose oprowadza mnie po swoim ogródku. Ileż tu smakowitych nazw drzew! Jest kasztan portugalski, jest guape – co rodzi smaczne owoce i zwabia roje bez-

szelestnych much, uwielbiających ich smak. Są krzewy goiabeira i pitan-gueira, jest ingazeiro – o smacznych, drobniutkich owocach. Zachwyca swoimi płynnymi kształtami wspaniałe rozłożyste drzewo flamboyant. Kwitnie właśnie akacja mimosa i araca, i dzika mandarynka. Są pomarańcze o wonnym zapachu i białych kwiatach. Nespiera, abacate, cinamono, alwawaka, kaktus z wielkimi liśćmi i niestety kolcami – doskonale nadający się na wieńce nagrobne. Rzuca się w oczy sombreiro, kapeluszwate drzewo o dużych liściach, bardzo popularne na nadmorskich alejkach. Jest hibiskus przyciągający kolibry i ozdobny banan, i koci pazur. Rosną lagrima de Cristo, czyli łzy Chrystusa. A w środku tego wszystkiego gospodarz, Jose – też dziwny okaz ludzki, nie mniej egzotyczny niż drzewa i kwiaty, i ja, Józef z dalekiej Polonii, wciąż w myślach porównujący ten ogródek do swojego ogródka przy chałupce letniej w Borzęcinie.

O ile w dzień tu nad morzeni dość ciepło i pada tylko przed południem, to w nocy kانونada grzmotów, ulewa, grad i wichura jesienna, jakby przewalał się halny za oknami. Czegoś podobnego już dawno nie przeżyłem, a przyjechałem przecież do Brazylii, żeby dogrzać starawe kości. No i masz babo placek! Na miejscu dowiedziałem się, że Kurytyba to Londyn Brazylii, a w ogóle w Paranie – jak w garncu: w jeden dzień cztery pory roku. Wieczorem w telewizji usłyszeliśmy, że w sąsiednim stanie Santa Catarina szalała w nocy taka trąba powietrzna, że wyrwało z ziemi wiele domów. Pewną rodzinę z ich domem wichura porwała, uniosła w górę, zakręciła i przeniosła jak puch dmuchawca o 150 metrów dalej. Dzięki Bogu wylądowali miękko na ziemi, zdrowo i cało, poza tym, że w jednej sekundzie stali się bezdomnymi. Mimo wszystko jak tu nie dziękować Bogu, że się cudem ocalało!?

Jakiś inny gospodarz z tej wsi łapie się za głowę, gdy opowiada, że jego krowa ważyła 250 kilo – w sekundzie „wyparowała” w powietrzu uniesiona przez trąbę.

Gdy wracaliśmy malowniczą trasą przez góry Serra do Mar do odległej o 150 km Kurytyby, widzieliśmy powyrywane przy drodze drzewa. Domyślam się, że wichura nie zrobiła większych szkód nad Parana, bo wstrzymał ją spokój i uśmiech Jose i Leokadii. Tej niespotykanej spokojnej pary.

Ale o tym wiedziałem tylko ja i nikt poza mną... nawet telewizja stanowa...

V Jestem ślepcem...

Zauważyłem, że gdy jestem w nowym kraju, poruszam się jak ślepiec. Początkowo nic nie wiem, niczego nie rozumiem, pytam o wszystko, macam wokół siebie białą laską, ucę się nowych miejsc. W miarę upływu podróży zaczynam łączyć różne fakty, wydarzenia, rozmowy; próbuję dochodzić do uogólnień. Mieszkałem kiedyś parę dni z ociemniałym, który rozpytywał o każdy szczegół: kto obok niego stoi, jak jest ubrany, jakie meble są w pokoju...

cdn.